Wydanie II.

Cena egzemplarza **20** groszy.

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ" i „GOSPODARSTWO"

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty ekspedycji itd.
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę w dole

Nr. 35. **Poznań, dnia 28 sierpnia 1927 roku.** **Rok XXXIII.**

ŚCIĘCIE ŚWIĘTEGO JANA CHRZCICIELA

Salome trzyma na misie głowę św. Jana.

Malował Guido Reni.

Cz 3665/1927/35

Najprzewielebniejszemu Xiędzu Kardynałowi Prymasowi

składamy na uroczystość Jego św. Patrona uniżone życzenia, aby Bóg zlał błogosławieństwo Swe najobficiej na trudną Jego pracę dla dobra Kościoła św. i Ojczyzny naszej.

Z życzeniami i modlitwą, by Bóg jaknajdłużej Go nam zachować raczył, łączymy obietnicę wierności dla Kościoła św. i dziecięcego oddania i posłuszeństwa względem Jego Dostojnej Osoby.

Ścięcie św. Jana Chrzciciela

Między ludźmi żaden prorok nie jest większy nad Jana Chrzciciela — takie świadectwo wydał o św. Janie sam Zbawiciel. Wielkim był on, gdy poszedł na pustynię nawołując lud do pokuty. Ale jego wielkość zajaśniała przedewszystkiem przy męczeńskiej jego śmierci.

Heród bowiem porzuciwszy żonę swoją pojął drugą, Herodjadę, żonę własnego brata. Pewnego dnia stanął przed nim Jan i skarcił go surowo za ten czyn haniebny: „Nie godzi ci się mieć żonę, brata swego!"

Tak wielka była powaga Jana wśród ludu, iż nie śmiał król ukarać proroka za tę śmiałość. Kazał go jednak uwięzić.

Tymczasem Herodjada, żona Heroda, zapałała nienawiścią do świętego męża. Czekała sposobności, by móc wywrzeć swą zemstę na Janie.

Pewnego razu, kiedy Heród obchodził dzień swych urodzin, wśród licznie zebranych gości, znalazła się i córka Heroda, Salome. Chcąc urozmaicić gościom wieczór, Salome tańczyła. — Spodobał się królowi taniec, dumny był z urody swej córki. Pełen zachwytu zawołał: „Proś mnie, o co chcesz, a dam tobie. I choćbyś żądała połowę królestwa mego, nie odmówię ci". Zastanowiła się Salome na chwilę, o co prosić. Wreszcie zwróciła się do matki swej z prośbą o radę. Herodjada chcąc wykorzystać nadającą się sposobność, doradziła jej, by zażądała głowy Jana Chrzciciela.

Podeszła więc Salome do króla i rzekła:

— Chcę, abyś mi zaraz dał na misie głowę Jana Chrzciciela.

Zasmucił się król, bo cenił bardzo wielkiego męża. Jednak świadom przysięgi swej, rozkazał wypełnić życzenie królewny.

Tak zginął Jan śmiercią męczennika za to, iż miał odwagę powiedzieć; nie wolno! samemu królowi.

Kościół, ustanawiając święto ścięcia św. Jana, stawił go w rzędzie męczenników, którzy zginęli dla przekonań swoich świętych.

Ewangelja na niedzielę dwunastą po Świątkach

zapisana u św. Łukasza rozdz. 10, w. 23—37.

W on czas: Rzekł Jezus do uczniów swych: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie! Albowiem powiadam wam: Wielu proroków i królów chciało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli.

A oto pewien prawnik powstał, i chcąc Go wybadać, rzekł: Mistrzu, co mam czynić, by posiąść życie wieczne? On zaś mu powiedział: Co napisano w zakonie? jak czytasz? A odpowiadając rzekł: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej." (Dt. 6⁵), a „bliźniego swego jak siebie samego" (Lew. 19¹⁸). A On mu odrzekł: Dobrześ odpowiedział; czyń to, a żyć będziesz, On zaś, chcąc się usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest moim bliźnim? Jezus tedy ciągnąc rzecz dalej, mówił: Pewien człowiek szedł z Jerozolimy do Jerycha, i wpadł między zbójców; ci nawet z odzienia odarli go, i poraniwszy zbiegli, pozostawiając go na pół umarłym. Przypadkiem zaś tą samą drogą szedł pewien kapłan; popatrzył na niego, i minął. Podobnież i lewita, nadszedłszy na miejsce, popatrzył na niego, i minął. Ale pewien Samarytanin, podróżując, przechodził obok niego, zlitował się. Przystąpił tedy, obwiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina, posadził go na swoje juczne bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go. Dnia zaś następnego wyjął dwa denary, i dał je właścicielowi gospody i rzekł: Miej o nim staranie, a jeśli co nad to wydasz, ja zwrócę ci, gdy wracać będę. Któryż z tych trzech, zdaniem twojem, okazał się bliźnim względem tego, co wpadł między zbójców? On zaś odrzekł: Ten, który miłosierdzie mu okazał. A Jezus mu powiedział: Idźże — i ty czyń podobnie!

Nauka.

„A któż jest moim bliźnim?"

Moim bliźnim (powiada pewien myśliciel) jest ten, który potrzebuje pomocy mojej. Czy on jest cudzoziemcem czy ziomkiem moim, czy jest współwyznawcą moim czy wyznawcą innej wiary, czy on przyjacielem czy wrogiem moim, to mniejsza. Ważniejsza: czy on pomocy potrzebuje i czy ja mu jej udzielić mogę.

Oto nić przewodnia przypowieści o miłosiernym Samarytaninie.

Razu pewnego szedł mój znajomy szosą w towarzystwie dobrze wychowanej panienki. Im naprzeciw zdążał staruszek, dźwigający brzemię ponad jego siły. Pot mu kipiał z czoła, w oczach, malowało się coś pośredniego między bólem, a przerażeniem: przerażała go obawa, że padnie w drodze.

— Biedny człowiek, — szepnęła mimochodem panienka.

— Ja odbiorę mu ten ciężar, a pani podeprze go i zaprowadzimy go do domu? — zapytał mężczyzna.

— Br... ie, on taki nieapetyczny... — brzmiała odpowiedź tej, która litowała się wpierw, a teraz zdążała coprędzej naprzód, aby uniknąć przykrego widoku.

Czy nie przypominają się tutaj słowa św. Jana. „Synaczkowie najmilsi, nie miłujmy słowem ani językiem, lecz uczynkiem i prawdą?" (Św. Jan I. 3, 17.)

„Sąd bez miłosierdzia temu, kto miłosierdzie nie czynił!" (św. Jakób II, 15—16—13).

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

XLVII.

Dwie rodziny. — Do której należę? — Śniadanie polityczne. — Nabożeństwo dla niewiast. — Msza: Rosa mystica. — Barwny obraz. — Lawina ludzka. — Policja a niewiasty. — Niewieście pomysły. — Kościół św. Alfonsa. — Niemcy w Ameryce.

Spełniłem obowiązek miłości braterskiej; byłem na grobie brata, oddałem się całkowicie rodzinie i spędziłem na jej łonie całe przedpołudnie. Spieszę się teraz na łono rodziny dalszej, tej, której węzłem jest miłość ojczyzny i narodu, ukochanie ideałów narodowych, przywiązanie do języka ojczystego i trzymanie wysoko sztandaru narodowości. Są rodacy, którym nie śmiałbym odmówić miana Polaków, a którzy umieją pogodzić ze swoją polską narodowością albo łatwe wyzbywanie się języka i myśli polskiej na rzecz innych narodów albo kokietowanie z międzynarodówką; mają oni zrozumienie dla potrzeb wszystkich innych narodowości, Żydów, Niemców, Anglików, własnych tylko ideałów łatwo gotowi się wyrzec ze względu na „wyższe cele". Ci rodacy stanowią osobną rodzinę, która trzyma się silnie za ręce i zbierają wcale niezłe plony swoich liberalnych poglądów; popłacają one w dzisiejszej dobie. Ja do tej rodziny nie należę. Zaliczam się do innej, takiej, która na punkcie praw narodowych nie uznaje żadnych przetargów, bo prawa do języka i odrębności narodowej uznaje za prawa Boskiego pochodzenia. Dzieciom tej rodziny nie idzie zwykle jak z płatka: czemu nie liczą się więcej z duchem czasu, który każe podłazić, gdy nie możesz przeskoczyć?! Która z tych dwóch rodzin więcej warta? Nie śmiem przesądzać. Niechaj każda spełnia sumiennie swoje zadania wobec narodu i niech się z tego sprawią przed Ojczyzną!

Chór zakonnic śpiewających Mszę „Rosa mystica".

Otwarcie bez żadnych osłonek wyznaję, że w Ameryce, wobec dwóch obozów Polonji amerykańskiej, oświadczałem się bez wahania po stronie tego obozu, który broni polskości naszego wychodźtwa od amerykanizacji, który wobec wyraźnych zamachów amerykanizacyjnych ze strony wysokich dostojników kościelnych równie wyraźnie stawia sprawę: Chcemy zachować ojców naszych wiarę świętą w polskim kościele, a nie zatopić narodowości w morzu katolicyzmu amerykańskiego.

Otóż ludzie, zaliczający się do tej rodziny, zeszli się na śniadaniu w domu jednego z działaczy narodowych. Na to śniadanie zaproszono i mnie. Było to śniadanie w całem znaczeniu słowa polityczne. Najwybitniejsi bowiem działacze obozu narodowego znaleźli się przy gościnnym stole pana doktora Orłowskiego. Śniadanie samo było rzeczą drugorzędną. Rzeczą główną było spotkanie się i zaznajomienie polityków narodowych w Ameryce z przedstawicielami „starego kraju".

Ale nie trzymam się porządku! Śniadanie zaznaczone było dopiero na godzinę pierwszą. Powrót mój natomiast z cmentarza nastąpił około godziny dwunastej. Aby wyzyskać czas, zbocznyłem jeszcze do stadjonu, gdzie, według programu kongresu odbywało się tego dnia nabożeństwo Niewiasty katolickiej. Wczoraj była anielska Msza dzieci, dzisiaj świat niewieści składał hołd uroczysty Królowi Nieśmiertelnemu w Najświętszej Eucharystji.

Cieszę się, że zdążyłem jeszcze przed samym końcem nabożeństwa, tak iż mogłem ogarnąć okiem całość tej potężnej manifestacji. Nie dostałem się już oczywiście do właściwego stadjonu. Zatrzymałem się raczej poza drucianem ogrodzeniem, gdzie swoją drogą zgromadziła się conajmniej stutysięczna masa. Zdobyłem chociażby pewne pobieżne wrażenie, jaką była ta manifestacja niewiast katolickich.

Mówiono, że ten dzień przechodzi do historji jako dzień olbrzymiego triumfu niewiasty chrześcijańskiej nad niewiastą niewierzącą. Mówiono, że ponad ćwierć miljona kobiet wypełniło wielki, polowy kościół pod gołem niebem na polu żołnierskiem. Jednomyślne w każdym razie jest zdanie, że promienie słońca nigdy nie złociły swoim blaskiem bardziej majestatycznego hołdu żarliwości i pobożności nad ów hołd Niewiasty dla Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Takiej Mszy dla ćwierć miljona niewiast, zebranych na jednem miejscu, jeszcze nie było!

Widziałem kobiety ze wszystkich warstw i zapewne ze wszystkich stron świata, wszelkich ras i klimatów, jedne ubrane ze szykiem paryskim, inne w chustkach lub czepkach na głowach, staruszki, matki z niemowlętami na rękach i młodziutkie panienki, kobiety umalowane według głupiej mody amerykańskiej i kobiety, zwłaszcza dziewczęta pełne wdzięku, jaki daje prostota i natura, nie upiększana żadną sztuką, — wszystkie zgodnie łączyły swoje głosy w jedną pieśń uwielbienia.

Słyszałem jeszcze nieco śpiewu zjednoczonych chórów; dwadzieścia tysięcy głosów kobiecych, z tego 6000 zakonnic. Podczas gdy dzieci śpiewały liturgiczną „mszę anielską" o melodji silnej, jakby męskiej, niewiasty wybrały sobie na popis mszę kompozytora Cornewalliego pod tytułem: „Rosa mystica" (Róża duchowna), kompozycję nowoczesną, ujmującą raczej

słodyczą. Wrażenie śpiewu, dolatującego mnie z daleka, było naprawdę głębokie i nadziemskie.

I dla oka był to widok niezapomniany, różniący się nieco od widoku z dnia dzieci, ale także pełen uroku. Ta sama gra kolorów, strojów prałackich i biskupich, purpur kardynałów, siedzących pod dwoma długiemi baldachimami szkarłatnemi, a dalej środek pola bielił się bielutkiemi sukienkami tysięcy członków katolickiej organizacji kobiet, za niemi rozciągał się barwny kobierzec jakby utkany z białej i czarnej nici, to wielkie pole sióstr zakonnych w ciemnych habitach i białych kornetach (zobacz dzisiejszy obrazek). A nad wszystkimi górował majestatyczny w swoich rozmiarach ołtarz z kopułą....

Kazania, które wygłosił kardynał O'Connell, nie słyszałem, więc o niem nie piszę osobno; z nabożeństwa słyszałem tylko koniuszek, boć przyjechałem tak późno, że mogłem chyba świece gasić. Widziałem tylko jeszcze stojąc na małem wywyższeniu, jak się ruszyła ta olbrzymia fala ludzi, by wracać do miasta. Miałem wrażenie, że to idzie lawina ludzka, która może nas zasypać. Więc wsiadłem do samochodu, by ujść, zanim jeszcze lawina ludzi zamieni się w lawinę samochów, utrudniających drogę.

Nasz wóz jeszcze stoi. Dlaczego nie rusza? Kierownik samochodu zwraca ze śmiechem uwagę na gromadkę policjantów, którzy tuż przy nas wymieniają sobie wrażenia z odbytej codopiero służby na nabożeństwie kobiet.

— Nie, — powiada jeden, ocierając pot z czoła, — kto tam da sobie radę z rodzajem niewieścim? Wczoraj przy dzieciach było dobrze, dziś wieczorem mężczyźni będą z pewnością słuchali. Jeno dzisiaj te baby! Żadna nie dbała o nasze wskazówki, wszystkie prawie przekorne, czasem opryskliwe, a czasem z miłym uśmiechem przeprowadziły swoją wolę. Lepiej być matrosem na ostatnim żaglowcu niż policjantem na służbie u kobiet!

— Biedny policjancie, dopieroś teraz o tem się dowiedział? — zawołał wesoło nasz szofer i ruszył w drogę.

W wieczornych gazetach tego dnia czytaliśmy kilka innych ciekawych szczegółów o zabarwieniu humorystycznem, wykazujących, jak to kobietki mają swoje pomysły. Oto po skończonem nabożeństwie wgramoliła się jakaś stara babulinka po stopniach do samego ołtarza, bo chciała — jak się tłumaczyła — ołtarz pocałować. Poczciwina! Łatwiej jej jednak było wnijść niż zejść po owych 32 stopniach; trzeba ją było sprowadzić. — Inna młodsza, zajęła miejsce na tronie, na którym zasiadał kardynał Bonzano, legat papieski: była ciekawa, jak się też siedzi na miejscu, które zajmował tak wysoki dostojnik.

Ale jedziemy już na śniadanie.

Po drodze skorzystałem ze sposobności i zwiedziłem kilka kościołów. Jeden utkwił mi w pamięci jako wspaniały, bogaty gmach gotycki. To kościół niemiecki, pod wezwaniem św. Alfonsa Liguorego, w zarządzie Redemptorystów. Wewnątrz widzę, zdumiony, napisów różnych więcej w języku angielskim niż niemieckim.

— To nic dziwnego, — tłumaczy mi mój towarzysz. — Niemcy wynaradawiają się tu sto razy prędzej niż Polacy. W kościołach niemieckich więcej kazań angielskich niż niemieckich, a dzieci szybko zapominają języka niemieckiego i uczą się katechizmu po angielsku. Łatwo idą do amerykańskiego nieba.

— Ale czują się Niemcami? — podpytuję.

— Ach, przed wojną to i o faterlandzie już nie myśleli. W czasie wojny było dość dużo agitacji za sprawą niemiecką, więc obudził się nieco duch. Ale bardzo patrzano im na palce, jakoś między nimi kręciło się dużo szpiegów, a przecież Ameryka prowadziła wojnę przeciwko Niemcom.

Przybyłem na śniadanie „polityczne" prawie ostatni. Czekały już na mnie wszystkie prawie tuzy z Polonji amerykańskiej. *X. Józef Kłos.*

Zofja Sokołowska

Co starościc zdobył na wojnie

25) Powieść z XVII-go wieku.

(Ciąg dalszy)

XVI.

Starościc i Walczak wiosłowali tak gorliwie, że gdy zbiegła krótka noc majowa, byli już daleko od Krymu.

— Nie zauważą mojej ucieczki prędzej, aż po wschodzie słońca, kiedy niewiasty z haremu pójdą myć się do łaźni — rzekła strażnikowa, patrząc na niebo, różowiące się od jutrzenki.

— Moją nieobecność spostrzegą dopiero podczas śniadania — powiedział starościc — w każdym razie nie potrzebujemy obawiać się pogoni. Nie przyjdzie nikomu do głowy, że uciekliśmy czółnem. Nie ostawiłim po sobie nijakiego śladu.

— Chwała Bogu, że i ja na coś przydałem się waszmościom — odezwał się Walczak.

— Bez ciebie nie bylibyśmy mogli wydostać się z niewoli — rzekł starościc.

Szeroka, poczciwa twarz Mazura rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia.

Na dnie barki leżało kilka buklaków z wodą zdrojową i worki z żywnością. Strażnikowa dorzuciła do tych zapasów kilka sporych kołaczy pszennych i woreczki z ryżem, kanarem i mąką kukurydzową.

— Kawałek jeno takiego słodkiego kanaru, co go też cukrem zowią, włożyć w usta, a zaraz człowiek pokrzepion się czuje — mówiła — młodzi sułtanowie mają przy siodle przytroczone woreczki z kanarem i ziarnem słonecznikowem.

— A którzy wyruszyli na wojnę z chanem?

— Wszyscy jego bracia: sułtanowie Dziambet, Safa i najmłodszy Adżi Giraj. Odkąd uderzono w b a i t — oni tak zowią wielki bęben wojenny — stara chanowa we łzach tonie, a niewiasty z haremu głośno lamentują. Pociesza je tylko speranda bogatych łupów, albowiem padyszach powiedział, że nie oprze się aż o Gdańsk.

— A niedoczekanie wasze, psubraty! — zgrzytnął zębami starościc — pan Sobieski nie dopuści tego.

— I jasyru spodziewają się ogromnego. Siła handlarzy ma przyjechać z Azji i ze Stambułu dla zakupu niewolników.

— Sprzedają skórę na niedźwiedziu, kiedy on żyje jeszcze — mruknął starościc i aż poczerwieniał z wielkiej zapalczywości.

— Sułtan Adżi naparł się koniecznie, żeby mu dano ze skarbca b u ł a t pierwszego Giraja, pono bardzo przedni; póty molestował, wstawiennictwa matki też używając, aż wreszcie chan ustąpił. Adżi supponuje, że dzięki temu, wróci jako g h a z i, to znaczy zwycięzca.

— To on z moją szablą pojechał na wojnę! — zawołał starościc, coraz więcej rozjątrzony — zawsze czułem do niego awersję. Ha! niech on swego Allaha prosi, żeby się ze mną nie spotkał, bo jako żywo wydrę mu ją!

Machinalnie sięgnął ręką do lewego boku, gdzie przypasywał szablę i westchnął, spostrzegłszy swoją omyłkę.

— Nie mam inszej broni, jeno dwie krucice, — rzekł, — kupiłem je potajemnie od pewnego Ormianina za drogie pieniądze.

— Ja wzięłam kindżał — ozwała się strażnikowa i wyciągnęła z zanadrza klingę stalową, ostrą jak brzytwa, z rękojeścią cudnie rzeźbioną w kości słoniowej.

— A moja broń tu leży, — powiedział Walczak, pokazując leżącą na dnie potężną pałkę, nabijaną kamieniami.

— Wolej, żebyśmy nie potrzebowali się bronić, bo nie wiadomo, ile adwersarzy mielibyśmy c o n t r a — rzekł starościc.

Morze rozjaśniło się, jak gdyby zostało posypane srebrem, potem stało się opalowe, a gdy złota kula słońca wychyliła się z poza granitowych bastionów Kaukazu, przybrała żywą barwę błękitu. W łodzi zbiegowie jęli pobożnie odmawiać ranne pacierze.

Dzień zapowiadał się pogodny i gorący, wioślarzom dokuczało pragnienie, strażnikowa wyjęła więc z zawiniątka srebrny kubek i każdemu nalała wody ze skórzanego bukłaka. Skibka pszennego kołacza, kilka rybek suszonych i garść rodzynków, starczyły za śniadanie.

Rozpiąwszy żagiel, płynęli ku zachodowi, pilnie upatrując, czy na widnokręgu nie ukaże się jaka galera turecka. W miarę jak oddalali się od Krymu, coraz większa otucha wstępowała w ich serca. Strażnikowa wciąż wypytywała starościca o Marysię i nigdy nie mogła dość nasłuchać się o niej. Walczak opowiadał o swojem życiu pustelniczem w skalnej pieczarze, o źródłach słonych i gorących, na które czasem natrafiał, o głębokich dołach, napełnionych śniegiem i lodem nigdy nie topniejącym, zwanych przez Tatarów b u z ł u k a m i. Spotkać je można tylko na wysokich górach: na Czatyrdahu, na Karabej Jaila i na niektórych przełęczach.

Po kilku dniach podróży, strażnikowa oznajmiła im, że w bukłakach już mało zostało wody. Słońce w dzień dopiekało i obaj mężczyźni, pracując ciężko przy wiosłach, często potrzebowali odwilżać zaschłe gardła.

— Nie ma rady, musim przybić do lądu, żeby napełnić bukłaki, — rzekł zafrasowany Walczak, — nie będzie to przezpiecznie, ale snadniej obejść się bez spyży, aniżeli bez wody. Trzeba skręcić na północ, to d płyniem do wybrzeża. Tak mi się widzi, że minęlim już ujście Bohu i Dniestru, a może i Dunaju, poza którym leży Dobrudża. Tam łatwo będzie o wodę.

Jakoż po kilku godzinach ujrzeli ląd, podobny do kosza zieleni, oblanego szafirownemi wodami morza.

— To pewnikiem wyspa Wężowa. — objaśnił Walczak — naprzeciw niej, przy ujściu Dunaju, leży miasto Kilja. Byłem tam ze dwa razy... Ostańcie waćpaństwo w łodzi, ja wezmę bukłaki i pójdę poszukać wody. Nie widać żywego ducha, to dobrze.

Skoro przybili do brzegu, Walczak wyskoczył i zabrał bukłaki, nie zapominając o swojej pałce, chociaż ta ostrożność wydawała mu się zbyteczna. Skierował się prosto do kępy wspaniałych drzew, rosnących pośród zielonej jak szmaragd łączki. Znalazł tam istotnie czystą krynicę i wrócił do czółna, dźwigając bukłaki pełne wody.

— Tu jest zupełnie pusto — rzekł, — mogłibyśta waćpaństwo wysiąść i krzynkę rozprostować członki.

— I napić się do syta! — westchnął starościc.

Zabrał wprawdzie manierkę pełną przedniej malmazji, kupionej w Bakczysaraju od kupca włoskiego; od czasu do czasu popijali z niej łyk lub dwa dla pokrzepienia się, ale słodkie i mocne wino cypryjskie podniecało jeno pragnienie, którego ze względu na konieczność oszczędzania wody, nie można było ugasić.

Wysiedli wszyscy troje na ląd i przywiązawszy czółno do drzewa, podążyli do krynicy. Nie zauważyli kilku ciemnych postaci, które pod osłoną krzaków, ostrożnie ku nim pełzały. Napiwszy się do syta zimnej i czystej jak kryształ wody, zamierzali rozpalić ogień dla upieczenia kasztanów, kiedy wtem zostali obskoczeni przez czterech Tatarów, na szczęście bezbronnych. Jeden pochwycił strażnikową, drugi rzucił się na starościca, dwóch napadło na Walczaka.

Pani strażnikowa, dzielna niewiasta, nie straciła przytomności, lecz błyskawicznym ruchem wyciągnąwszy kindżał z zanadrza, przebiła nim rękę napastnika, który puścił ją z wrzaskiem. Starościc wydobył krucicę, strzelił i ciężko zranił Tatara. Walczak nie zdążył podnieść z ziemi swojej pałki, lecz silnem uderzeniem pięści, powalił jednego przeciwnika, drugiego zaś ścisnął za gardło i omało nie zdusił.

— Do łodzi! Żywo! — zakomenderował starościc, słysząc nadbiegających innych Tatarów, zwabionych krzykami rannych.

— Ja ich tu zatrzymam. Odbijcie jeno od lądu! Dogonię was wpław! — zawołał Walczak, i splunąwszy w garść, ujął swoją pałkę.

Tamci wskoczyli do łodzi i chwycili za wiosła; strażnikowa kindżałem przecięła linę, gdyż odwiązywanie jej byłoby zajęło za wiele czasu. Walczak tymczasem sam jeden zatrzymał czterech Tatarów i kręcąc swoją straszną maczugą, jednemu łeb rozwalił, drugiemu strzaskał ramię, trzeciemu wymierzył taki cios w piersi, że tamten padł zemdlony, do czwartego zaś starościc strzelił z łodzi i zranił go.

Pokonawszy napastników, Walczak rzucił się w morze, żeby połączyć się z towarzyszami, którzy już zdążyli oddalić się od brzegu, aliści jeden Tatar, ocknąwszy się z omdlenia, chwycił spory kamień i cisnął nim w płynącego Mazura

Walczak, śmiertelnie trafiony w głowę, jęknął i pogrążył się w fale. Starościc i strażnikowa krzyknęli przerażeni. Przez chwilę łudzili się jeszcze nadzieją, że wypłynie, ale jasnowłosa głowa Mazura, już się nie ukazała na powierzchni. Biedakowi nie było sądzone ujrzeć ziemi rodzinnej.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! — drżącym głosem rzekła strażnikowa.

— A światłość wiekuista, niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen — dokończył wzruszony starościc.

Złowroga wyspa Wężowa już zniknęła im z oczu, a jeszcze nie mogli ochłonąć z żalu. Śmierć poczciwego Walczaka, który w obliczu niebezpieczeństwa o nich tylko się troskał, zmartwiła ich, a zarazem zmniejszyła widoki ocalenia. Czy zdołają teraz dopłynąć do Stambułu? Strażnikowa ujęła wprawdzie za wiosło, żeby dopomóc starościcowi, ale nie miała ani siły, ani wytrzymałości Walczaka.

Płynęli już kilka godzin, kiedy w oddali ukazała się duża galera, cała purpurowa w blaskach zachodzącego słońca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RODACY W BRAZYLJI

II.

Późniejsze masowe emigracje rozszerzały się również przeważnie na płaskowyżu stanu Parana, ze względu na stosunkowo najlepszy klimat. Temperatura dochodzi tutaj do 34° Cel., a zimą spada do 4° poniżej zera; przeciętna temperatura wynosi 16,2°, więc w sam raz dla naszych ludzi. Późniejsza emigracja zaczęła zajmować tereny i w innych stanach, jak na południu Sta. Catharina, Rio Grande de Sul, a nawet S. Paulo, na północy od Parany.

Stany te zajmują wielką przestrzeń, a powierzchnia ich jest bardzo rozmaicie ukształtowaną. Od brzegu morskiego wznosi się aż ponad 800 m nad poziom morza, na zachód zaś spuszcza się ku olbrzymim rzekom. Przestrzeń ta jest przytem poprzerzynana pasmami gór oraz dolinami, rozlewnych lub w skaliste brzegi ujętych rzek, pełnych wodospadów. To też zależnie od miejscowości udają się różne produkta: jak żyto, pszenica, owies, ziemniaki, kapusta... a najwięcej kukurydza; także w niższych i cieplejszych okolicach ryż, trzcina cukrowa i kawa...

Ziemie, które rząd Brazylijski na bardzo długoterminową wypłatę dawał emigrantom, przeważni ma 1000 m wgłąb i 250 m frontu. Ten kawał ziemi, (około 400 mórg), nazywa się szakrem lub kolonją. Gospodarcze budynki buduje się na takim szakrze w miejscu najdogodniejszem, zwykle nad wodą. Jeden od drugiego jest więc oddalony znacznie. Dlatego też praca duszpasterska czy oświatowa jest utrudnioną. Poszczególne linje takich kolonji mają 10 do 20 i więcej kilometrów. Kolonista (gospodarz) jedzie do kościoła nieraz dwie i trzy godziny w jedną stronę. Dzieci chodzą do szkoły często 6 km a nieraz i 10 km.

Dom xx. misjonarzy w Kurytybie; przy domu mieści się drukarnia gazet polskich i sekretarjat towarzystw polskich.

W miejscowościach więcej oddalonych buduje się kapliczki, które ksiądz od czasu do czasu odwiedza.

Po 30 lub 50 latach starzy koloniści starają się nabywać nowe i coraz większe tereny ziemi dla siebie lub dla swych dzieci. Idzie w lasy, wypiera brazyljan, wykupując ich własności. W ten sposób kolonje rozlewają się i tracą spoistość.

W pracy parafjalnej ksiądz obcuje ze swoimi parafjanami tylko podczas nabożeństwa lub kilka chwil bezpośrednio przed lub po nabożeństwie. Dlatego wszelkie zebrania są utrudnione. W każdej prawie parafji jest żywy różaniec, Stow. Dzieci Marji, a rzadziej stowarzyszenie młodzieży.

Odnosi się to do parafji już starych, gdzie kolonje są więcej skupione. Nowopowstałe kolonje wynikłe przez dalsze zakupna ziemi, są jeszcze trudniejsze dla pracy organizacyjnej.

Jakżeż można gruntownie pouczać dzieci, czy starszych, jeżeli raz na miesiąc lub nawet rzadziej można ich odwiedzić; bywa, że ksiądz na zapowiedziany dzień przyjedzie, ale ludzi deszcz wstrzyma. To też zaniedbanie religijne i brak znajomości nawet pierwszych prawd wiary św., powoli, ale stale wzrasta. Łatwo się domyśleć, że wślad za utratą religijności idzie zanik narodowości, bo jeżeli w którym, to w naszym właśnie narodzie, a zwłaszcza na emigracji, religja katolicka z narodowością jest nierozdzielna. To też na każdym kroku spostrzegałem, że na ogół, w ścisłem słowa znaczeniu, Polakiem będzie na emigracji ten, który odbiera w polskim języku także wykształcenie i wychowanie w zasadach religji katolickiej, w przeciwnym razie będzie to tylko Polak z imienia.

Domyślić się stąd łatwo, jak wobec braku księży,

Najstarsze towarzystwo pol. w Kurytybie im. Tadeusza Kościuszki, założone w r. 1890. Obraz przedstawia zarząd.

Kółko nauczycieli chrześcijańskich szkół polskich w Brazylji. W środku (X) p. Z. Miszke, konsul polski. Koło liczy 30 nauczycielek zakonnych i 40 nauczycieli i nauczycielek świeckich.

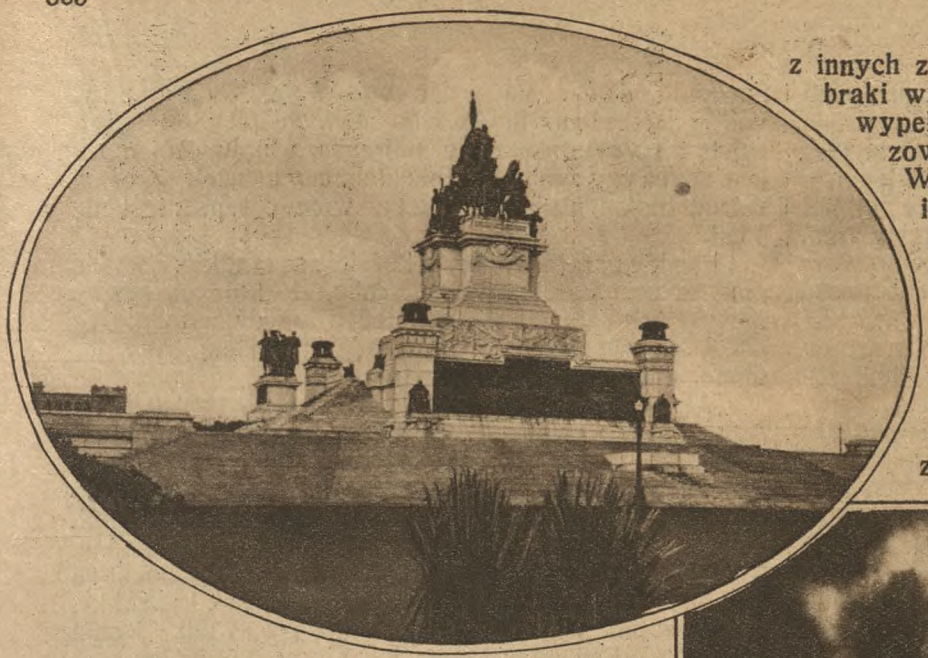

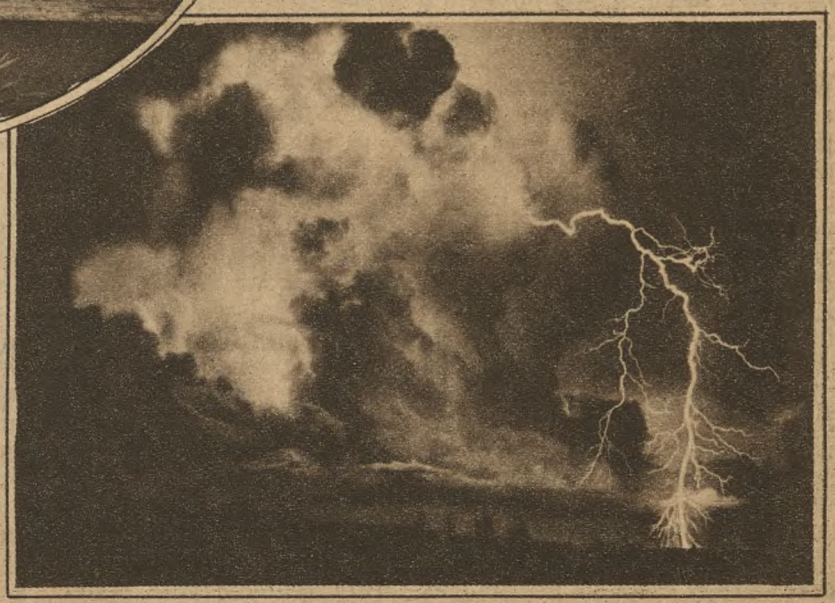

Pomnik niepodległości w S. Paulo.
Na prawo: Wspaniałe zdjęcie burzy z ciekawem uchwyceniem błyskawicy.

potrzeba nam w Brazylji katolickich nauczycieli i nauczycielek, zdolnych i chętnych do nauczania po polsku katechizmu, pacierza, pieśni polskich.

Niestety z przykrością widziałem, że większa część naszych świeckich nauczycieli w Brazylji nie poczuwa się do tego obowiązku.

Widziałem nauczycieli niemieckich, którzy poza oświatową pracą stawali także na czele religijnego ruchu i jako delegaci dopominali się kazań i księży niemieckich. Naszym niezaradnym zaś kolonistom niema w tym względzie kto dopomóc i w ich imieniu upominać się o zaspokojenie potrzeb religijnych w polskim języku. Wielu naszych nauczycieli wprost przeciwnie wstydzi się przeżegnać i kpi sobie z uczuć religijnych kolonistów, odmawiając i ich od sprowadzania sobie księdza polskiego. Dlatego też spotykałem kolonje z kilkuset familji, nie mające księdza polskiego stałego i nie mogące doczekać się go; nietylko bowiem biskup, ale nawet i nieraz proboszcz brazylijski lub niemiecki nie zdaje sobie sprawy, że tam są Polacy i że księdza z polskim językiem koniecznie potrzebują.

Od kilku lat (1920) księża Misjonarze przedewszystkiem, za życzliwem poparciem polskich księży z innych zgromadzeń, starają się choć częściowo te braki w pracy parafjalnej, szkolnej, organizacyjnej wypełnić, akcją zbiorową, centralna, zorganizowaną w Kurytybie (zob. fot.).

W tym celu założono ze współudziałem i świeckich panów r. 1920 informacyjną, ale na zasadach katolickich opartą gazetę „Lud". Wychodzi 2 razy na tydzień i kosztuje z przesyłką do Polski 20 złp.

W r. 1921 zaczęliśmy wydawać także czysto religijne pisemko miesięczne z kazaniami na niedzielę pod tytułem „Przyjaciel Rodziny".

W tymże roku zaczęliśmy organizować związek katolickich szkół i towarzystw polskich w Brazylji „Oświata", który mimo wielu przeszkód a małego zrozumienia, rozwinął pod prezesurą x. Jana Rzymełki szeroką działalność. Skupił on przy sobie 78 towarzystw i 64 szkół. Z towarzystw współpracują przeważnie szkolne. Na szczególniejszą uwagę zasługuje Towarzystwo Kościuszki (fotografja) i z tego względu, że w jego domu mieści się od 1927 roku kolegjum H. Sienkiewicza.

Z nieszkolnych towarzystw najdzielniej wspiera akcję oświatową tow. „Wład. Jagiełły" w Abraches (patrz fot.).

Równocześnie z organizowaniem szkół i towarzystw, pod hasłem wychowania młodzieży na zasadach katolickich, skupia się także nauczycielstwo

Plantacja kawy w Paranie.

Wybrzeże wyspy Santos znanej z uprawy dobrej kawy.

Kółko Nauczycieli Chrześcijańskich ma 40 nauczycieli świeckich i 31 nauczycielek zakonnych. Nauczyciele ci zjeżdżają się co roku na walne zebranie; w tym roku odbyły się rekolekcje dla nauczycieli świeckich.

Przy związku „Oświata" istnieje jeszcze bibljoteka, z której wypożycza się książki towarzystwom, szkołom i pojedyńczym osobom. W r. 1923 otwarliśmy także bursę. Koloniści mają więc sposobność kształcić swych synów wyżej. Najwięcej kształci się na nauczycieli szkół prywatnych. Tym ostatnim jednak trzeba pomagać finansowo. Próbowałem zebrać fundusz nauczycielski na kształcenie chłopców, drogą składek, odczytów, przedstawień kinematograficznych po kolonjach. Trud wielki a skutek mały. Mimo to przez 4 lata wyszło z bursy nauczycieli na tamtejsze stosunki kwalifikowanych 13, a obecnie przygotowuje się 6. Nietylko ta ostatnia akcja, ale wogóle wszelka praca centralna, organizacyjna, oświatowa czy wydawnicza niema do dziś dnia dostatecznych podstaw finansowych. Zaznaczam to z naciskiem, ponieważ zauważam, że w Polsce nawet inteligencja i księża często mieszają Brazylję ze Stanami Zjednoczonemi Północnej Ameryki i nie widzą różnicy w stosunkach jednego i drugiego kraju. Tymczasem są to dwa zupełnie odrębne światy pod każdym względem. Zatem: W Brazylji nie panuje wszechwładny dolar, ale milreis, który prawie równa się złotemu polskiemu.

Bogactwo Brazylji jest jeszcze w ziemi i nieeksploatowane czeka dopiero na kapitały zagraniczne. Przemysł jest jeszcze mało rozwinięty, klimat odrębny, naród panujący rasy romańskiej, z charakterystyczną swą cnotą cierpliwości „paciencia", komunikacja utrudniona.

Wszystko to odpowiednio oddziaływa na ukształtowanie się naszej polskiej emigracji, którą stanowią przeważnie rolnicy, rozrzuceni na ogromnych przestrzeniach, jeden od drugiego oddalony 250 do 1000 metrów, a często i więcej. Wskutek tego praca organizacyjna jest niezmiernie utrudniona.

Wybudować miejscowy kościół, szkołę lub dom towarzystwa nie jest zbyt trudno, natomiast cel więcej ogólny, dotyczący całej emigracji, nie znajduje jeszcze zrozumienia wśród ogółu i wydostać nań ofiarę jest trudno. W r. 1923 n. p. zmuszeni byliśmy urządzić kurs uzupełniający dla nauczycieli polskich. W przeciwnym razie groziło nam zamknięcie szkół polskich. Zachęta do ofiar na kursa nauczycielskie szła przez wszystkie gazety bez względu na zapatrywania. Mimo to na ogólną sumę 9694 milreisów czyli złotych, tamtejsze społeczeństwo złożyło tylko 1746. Wskazanemby zatem było, aby Ojczyzna i społeczeństwo krajowe pomagało według możności tamtejszej centralnej i zbiorowej robocie. Bo jaką sobie emigrację wychowamy, taką ją w przyszłości mieć będziemy.

Obecnie zanosi się na wielką emigrację uregulowaną umowami rządu polskiego i stanu S. Paulo na północ od Parany. Klimat gorący, nie jest jednak nie do wytrzymania. Jeżeli zwłaszcza będzie dostateczna i sumienna obsługa lekarzy polskich, wielu naszych może znaleźć chleb i w przyszłości dorobić się majątku.

S. Paulo ma przedewszystkiem plantacje kawy, na które potrzebuje stałych robotników. Stolica tego stanu, miasto S. Paulo, stoi w Brazylji na pierwszem miejscu pod względem handlu i przemysłu. Wspaniały jest jego pałac i pomnik niepodległości „Ypiranga" (fot.). S. Paulo eksportuje swoje produkta z portu swojego stanu i miasta Santos. Port ten jest przystępny i dla największych okrętów.

Ciekawe byłyby zapewne niektóre szczegóły z życia misyjnego pracy księży. Pracę tę duszpasterską można podzielić na pracę wśród swoich, Polaków, wśród Brazyljan, lub wśród dzikich plemion indyjskich. Ta ostatnia choć najrzadsza najwięcej może jest znana czy z misyj katolickich, czy książek. Zresztą wśród Indjan nie pracowałem, więc o tem nie będę pisał.

Polskie parafje o jednym kościele są rzadkie. Zwykle mają więcej kościołów lub kaplic, do których ksiądz musi dojeżdżać. Jeżeli jest jeden lub dwa, to muszą jakoś tak się urządzić, że w jedną niedzielę jest w jednem, a w drugą w innem miejscu.

Ja np. byłem proboszczem od 19161=920 r. na Agua Branca (woda biała), gdzie mniejwięcej prowadziłem regularną pracę nad 170 familjami. Oprócz tego musiałem obsługiwać drugą parafję Antonio Olyntho ze 120 rodzin złożoną, odległą o 8 mil (mila — 6 kilom.). Choć droga wozowa już była, ale bardzo niewygodna. No i parafje — obydwie nawet nie dawały dochodu tyle, by można trzymać dwa konie, wózek i parobka. Jeździło się więc konno co miesiąc 8 mil. Konia odziedziczyłem odważnego jak nieprzymierzając djabeł: w przepaść czy w rzekę, czy przez płot z jeźdźcem gotów rzucić się. Ale i w złości i uporze do złego ducha podobny. Ledwo osiodłać się dał; siadaj w momencie, a jak się uparł, to jak panienka z godzinę tańczył, na dwu nogach stanąwszy. Nie chciałem mu poddać się, ale też cudem chyba tylko raz śmierci uniknąłem. Zmieniłem go na posłuszniejszego, choć jak sarenka płochliwego araba, o miedzianym połysku, jak łabędź zagiętym pysznie karkiem i falistą grzywą. Gdym go obwiesił torbami do siodła przymocowanemi, siadłem jak w twardą kołyskę. Pamiętam jeszcze mój pierwszy przyjazd na kolonję A. O. Wprowadzają mnie „poczciwi" starsi kolonji do domu, który za magazyn służył. Jedna izba przeznaczona była na sypialnię dla księdza. Ale właściciel domu, wędziarz (sklepikarz) był tak gościnny, że w nieobecności księdza kazał pijaka, niemogącego trafić do domu, kłaść na łóżko zasłane barłogiem. Różnego gatunku domowe robactwo panoszyło się.

Do tego brudna poduszka ze siana i kocyk z wielką dziurą w środku do nakrycia. Naturalnie powoli zmieniło się to wszystko na lepsze.

Ostrzegano mnie przytem, abym sam przez lasy nie jeździł, tylko z towarzyszem, bo to niebezpieczne. Dałem im do zrozumienia, że jestem uzbrojony i strzelam celnie. Gdy raz kulką mauzera strąciłem wobec kilku świadków, z oddalonego i wysokiego drzewa małego ptaszka, gruchnęła wieść o nadzwyczajnej mojej celności. Podróżowałem sobie zatem mniejszym kosztem bo sam. Czasem trzeba było przeprawiać się przez rzekę Ignassu, gdy z powodu wylewu była już niebezpieczną. Koń do połowy zanurzony we wodzie musiał wskakiwać na prom, to znów płynąć za łódką.

Nieraz burza (zob. fotog.) się zerwała nagła i gwałtowna, bijąc naokoło piorunami. Wokoło nigdzie wolnej od drzew polanki ani domu. Smukłe na 40 do 50 m. wysokie piniory (sosny), uginając się jak olbrzymi łan zboża, kłaniają się nisko swojemi olbrzymiemi, u samego wierzchołka rozpiętemi konarami. Lęk bierze przed tymi pokłonami, bo od czasu do czasu ułamie się potężna na kilka metrów długa gałąź i runie tuż przed jeźdźcem. Czasem trzask i łomot echem zagrzmi w dziewiczym lesie. To olbrzym jakiś złamany lub z korzeniami wyrwany zwalił się, druzgocąc stojące mu na drodze drzewa.

W dzień pogodny a upalny, gdzieś w połowie drogi, w cieniu nad wodą, wypocznie się, popuściwszy popręgów spoconemu bydlęciu. Obwąchuje ono ręce i kieszenie swego pana, jakby badając z troską czy

ma się czem posilić. Mlaska językiem i oblizuje się. Trzeba się z niem podzielić, dając mu choćby skórkę pomarańczy, kawałek chleba z masłem, lub nawet z mięsem, bo i tem nie wzgardzi konik, widząc jak jego pan smacznie zajada.

Czasem po drodze wstąpi się do „Kabokla" (leśny brazyljanin). Zastaje się ich najczęściej koło południa, przykucniętych w lecie przed domem, w dni chłodne w domu przy ognisku rozłożonem w środku. Zwykle na żarzących się drewnach stoi czajnik z gorącą wodą. Po pierwszych powitaniach: Dzień dobry, jak się pan masz, tak panie, po klepaniach po plecach, gospodyni nasypuje do „kujki" (naczynie z owocu do tykwy podobnego; herwa matty, tamtejsza herbata), zalewa gotującą się wodą, chwyta ustami bombę (rurkę, ze sitkiem na dole), wysysa pierwszą porcję, nalewa do tejże kujki znów wody gorącej i podaje nowo przybyłemu gościowi lub też najbliżej siedzącemu. Tak po kolei wszyscy piją ten „szymara".

Gorzej przedstawiają się duszpasterskie podróże księży w głębi, wśród samych kaboklów. Nieraz wypadnie nocować pod gołem niebem, lub przy ognisku w popiele. Podczas gdy wśród Polaków można urządzić się względnie wygodnie, to wśród brazyljan na ogół jest się pozbawionym wszelkich wygód. Ma się za to pewne wewnętrzne zadowolenie, że przecież pracuje się dla pożytku dusz, istot najwięcej pod względem religijnym opuszczonych. *X. Stanisław Piasecki.*

PROBOSZCZ z ARS

(św. Jan Marja Baptysta Vianney)

Streściła podług francuskiego Iry St.

(Ciąg dalszy.)

Wkońcu x. Vianney poddał się i zastosował do życzenia biskupa, powrócił do Ars, przyjęty przez parafjan objawami szalonej radości i miłości. Klękano, całowano go po rękach, proszono o błogosławieństwo, a gdziekolwiek zatrzymał się po drodze, wieść o przybyciu Świętego zapełniała kościoły po brzegi.

W ciągu życia, kilka razy jeszcze proboszcz z Ars, zapragnął opuścić parafję i usunąć się do Trapistów, aby w murach klasztornych, zdala od ludzi, płakać nad swą nędzą i pokutować za grzechy, jednakże za każdym razem, uległ wyższej woli i posłuszny powracał do Ars. Między 25 a 50 r. rozpoczęła się wędrówka pielgrzymów z dalszych stron n. p. z Belgji, Flandrji, Anglji, Bretanji, Ameryki do Ars. Ludzie z najróżniejszych stanów, biskupi, generałowie, wielkie panie, profesorowie, dygnitarze świeccy, przyzwyczajeni do wygód, chętnie znosili głód, zimno, upalne ciepło, ciemnotę mieszkań, szturchańce wśród natłoku byle tylko usłyszeć kilka słów z ust św. kapłana.

Trzeba było budować nowe schronisko, aby pomieścić tę niesłychaną ilość pielgrzymów śpieszących do Ars, gdzie skromny, cichy ksiądz, unikający rozgłosu, wywierał cudowny wpływ na dusze ludzkie. Niektórzy czekali całą dobę, by zbliżyć się do konfesjonału, gdzie spowiadał x. Vianney. Ustanowiona policja czuwała nad porządkiem w kaplicy, odgrodzonej żelaznemi prętami od publiczności, pchającej się do spowiednika, który mimo słabych sił 16 godzin dziennie, często 18, a nigdy mniej jak 15 spowiadał penitentów przez lat 30! Wzrok jego zaglądał w głębiny dusz, które taiły się przed nim — zapalał w zatwardziałych sercach ogień skruchy — wyciskał łzy słuchaczów, gdy w wieczornej modlitwie powtarzał słabym, nieomal dziecięcym głosem te proste słowa:

— O Boże mój kocham Ciebie z całego serca.

Gdy przemawiał do ludu od ołtarza, wzrok jego płonął — a gdy spoczął na kim, zdawało się słuchającemu, iż cudowną intuicją przeniknął jego sumienie i poznał złe skłonności, lub to, co mu sprawiało niepokój. X. Vianney potrzebował z początku dość dużo czasu do przygotowania swych kazań, z biegiem lat wystarczyło mu przed nauką westchnąć do Ducha Św. a słowa płynące prosto z serca, zrobiły z niego najświetniejszego kaznodzieję, posiadającego specjalny dar przykuwania uwagi audytorjum żywem obrazowaniem i siłą porównawczą. Przytoczymy choć-kilka drobnych przykładów.

— Duch Św., — mówił, — jest jak ogrodnik, który nad duszą naszą pracuje. Duch Św. spoczywa w sercu sprawiedliwego, jak synogarlica w gniazdku. — Z Jego poczęcia rodzą się dobre zamiary tak, jak pisklęta z gołębicy. Duch Św. prowadzi nas jak matka dziecię swoje dwuletnie — jak człowiek jasnowidzący prowadzi ociemniałego brata.

Krzyże są na drodze wiodącej do nieba, jak pomosty nad rzeką, którą przejść nam trzeba. Ci, którzy nie cierpią, przechodzą przez kruchą kładkę, mogącą się łatwo załamać pod ich stopami. Ten, który nie kocha krzyża — może zbawić się, lecz z wielką biedą i pozostanie tylko maleńką gwiazdką na niebosklonie. Ten, który cierpieć i walczyć będzie dla Boga, zaświeci jak piękne słońce. Modlitwa jest jak rosa woniejąca — trzeba jednak modlić się z czystem sercem, aby móc się tą wonią rozkoszować.

Im więcej się modlimy, tem goręcej pragniemy modlitwy. Jak ryba płynąca z razu na powierzchni wody, a potem zanurzywszy się, posuwa się szybko naprzód — tak i dusza zanurza się zaprzepaszcza i tonie w głębokiej i słodkiej rozmowie z Bogiem.

— Dzieci moje, — mówił innym razem kaznodzieja, — kochajcie bardzo Boga, — On jest tak dobry. Kochajcie Go całem sercem.

Zapytany, dlaczego tak często te słowa powtarza odpowiedział:

— Bo miłość Boża, to moja ojczyzna.

Codziennie, między 11 a 12-tą, gdy x. Vianney schodził z kazalnicy — całe audytorjum cisnęło się za nim, tamując przejście prowadzące z kościoła do probostwa i to samo działo się gdy wracał. Kapłan nie lubił tych publicznych objawów czci i chciał ich uniknąć. Musiał jednak poddać się i tej konieczności, przekonawszy się, że przez tę chwilę mógł niejedną wskazówką, dobrą radą, pociechą przysłużyć się bliźniemu. Zaledwie proboszcz ukazał się na progu, wszystkie głowy pochylały się, by odebrać jego błogosławieństwo — wyciągały się ku niemu ręce, kaleki pokazywały mu swe członki zdruzgotane, chorzy, rany na ciele — grzesznicy spowiadali głośno swe winy.

Szedł wolnym krokiem od jednej biedy do drugiej, pełen cierpliwości i przytomności umysłu.

— Ojcze! Ojcze! — wołano na wszystkie tony, a kapłan na wzór Boskiego Mistrza dla każdego miał słowo pociechy lub w razie potrzeby i napomnienia.

Niektórzy pielgrzymi nie mieli wcale sposobności porozmawiać z x. Vianney, ale sam widok świątobliwego proboszcza, otoczonego rozentuzjazmowanym tłumem, sprawiał takie wrażenie, tak dusze podnosił ku niebu, iż wspomnienie onych chwil starczyło na całe życie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ze szkoły ogrodniczej krajowej w Tarnowie

X. Józef Kaliciński, prefekt szkoły ogrodniczej w Tarnowie.

Serdeczną troską społeczeństwa w obecnej dobie jest wychowanie młodzieży. Skutki wielkiej wojny światowej i przewrotów społecznych odbiły się fatalnie nietylko pod względem gospodarczym, ale i pod względem moralnym. Każdy naród dąży gorączkowo do zagojenia ran zadanych przez wojnę, do podniesienia się materjalnego i duchowego, a przyszłość swą widzi w zdrowej, inteligentnej, zahartowanej młodzieży i dlatego zakłada wciąż nowe szkoły, reformuje i ulepsza systemy nauczania, oraz stara się podnieść zdrowie i sprawność fizyczną młodego pokolenia.

Szkoła ogrodnicza kraj. w Tarnowie.

Na czoło wszystkich szkół wybijają się szkoły fachowe. I nasz naród nie pozostaje w tyle za innemi. Oprócz reformy szkolnictwa powszechnego i średniego następuje reforma szkolnictwa zawodowego. Powstają u nas coraz nowe szkoły rzemieślnicze, handlowe, a głównie rolnicze i ogrodnicze.

Wśród szkół rolniczych i ogrodniczych jedno z pierwszych miejsc zajmuje tarnowska szkoła ogrodnicza, najstarsza tego rodzaju, bo już 40 lat licząca, uczelnia na ziemiach polskich z trzechletniem studjum fachowem połączonem z internatem. W ciągu swego istnienia wydała ta szkoła duży zastęp ogrodników inteligentnych, wyrobionych nietylko pod względem fachowym ale i pod względem charakteru, zajmujących dziś wybitne stanowiska.

Wojna nie oszczędziła i tego zakładu. Obecny kierownik tej szkoły p. Drewko zastał ogrody i budynki zniszczone, walące się stare szklarnie, brak narzędzi i przyborów naukowych. Ale niezmordowaną pracą oraz zmysłem organizacyjnym potrafił przy pomocy dzielnego grona nauczycielskiego doprowadzić ogrody do wzorowego porządku, poprawić budynki, postawić nowe szklarnie, pomnożyć bibljotekę, zakupić sporo przyrządów i środków naukowych, a najważniejsza wpoić w młodzież gorące umiłowanie pracy, nauki, karności posłuszeństwa, religijności i patrjotyzmu. Nic dziwnego, że władze nie szczędzą szkole pochwał, że zakład zdobywa piękne nagrody na wystawach krajowych, że rodzice ślą ciągle wyrazy wdzięczności za wzorowe wychowanie swych dzieci a napływ młodzieży do zakładu jest coraz większy, tak, że szczupły budynek nie może ich już pomieścić i zachodzi konieczna potrzeba rozszerzenia budynków i powiększenia internatu.

Najstarszym pracownikiem w tymże zakładzie a zarazem kierownikiem duchowym i duszpasterzem jest x. kan. Józef Kaliciński. Od lat 27 stał on tutaj na posterunku a niezmordowaną pracą i zaletami serca zjednał sobie gorącą miłość nietylko grona nauczycielskiego, ale przedewszystkiem miłość i wdzięczność młodzieży.

Nowa szklarnia w szkole ogrodniczej w Tarnowie.

Mąż wielkiego serca, sam przepojony miłością Najśw. Sakramentu, starał się o rozszerzenie tego kultu wśród najszerszych kół młodzieży, pisząc stosowne broszurki, gromadząc młodzież w świątyniach i urządzając adoracje Najśw. Sakramentu.

Wnętrze nowej szklarni.

Profesorowie i uczniowie szkoły ogrodniczej w Tarnowie. W środku p. dyr. Drewko (X).

Znakomity kaznodzieja, rzucający wokoło hojnie posiew idei Chrystusowej w przeróżnych rekolekcjach w pośród młodzieży szkolnej i związkach młodzieży wieskiej, dał się nadto poznać w pracy społecznej. Zajmował się gorliwie szerzeniem oświaty wśród ludu, prowadząc przez szereg lat pracę w towarzystwie oświaty ludowej. W tym czasie sam powiat tarnowski posiadał 60 bibljotek Towarzystw Czytelni Ludowych. Z własnych funduszów zakupił aparaty projekcyjne i uzyskał 30 serji przeźroczy z dziedziny religijnej, historycznej, rolniczej i t. p ; jeździł latem i zimą po wsiach i miasteczkach z odczytami, witany wszędzie z radością. Już w r. 1898 zainicjował i położył fundamenty pod budowę pięknego domu „Ojczyzny" w Tarnowie, gdzie sfery robotnicze i rzemieślnicze oświecają się, łączą i krzepią ducha religijnego i patrjotycznego.

Podkreślić należy wszędzie jego serdeczny stosunek do grona nauczycielskiego i dążność do stworzenia wzorowej harmonji w pracy nad wychowaniem i wykształceniem młodzieży w duchu katolickim.

Obecnie ten sędziwy i spracowany ks. kanonik odchodzi z dotąd zajmowanych stanowisk i przenosi się w zacisze klasztorne a mianowicie obejmuje piękne stanowisko kapelana w zakładzie wychowawczym P. P. niepokalanek w Nowym Sączu. Nie idzie, by tam odpocząć po długich trudach, ale by zająć nowy odpowiedzialny posterunek we wzorowym średnim zakładzie wychowawczym i naukowym.

Nic dziwnego, że wzruszającą była chwila, gdy ten czcigodny pasterz żegnał swoje owieczki w zakładzie, gdzie 27 lat pracował, a mianowicie tarnowską szkołę ogrodniczą. Z uroczystością pożegnania złączyła się uroczystość jubileuszowa ćwierćwiekowej pracy ks. kan. Kalicińskiego w powyższym zakładzie. Po solennem nabożeństwie na intencję Jubilata odbył się piękny poranek 25 czerwca br. Na program złożyło się przemówienie p. Dyr. Drewki, prof. Majchra i ucznia III kursu. oraz chór i orkiestra uczniowska. Dyrektor zakładu odczytał pismo Kurji Biskupiej, w którem władza duchowna wyraża Jubilatowi słowa uznania i podzięki za tylioletnią sumienną i wytrwałą pracę nad wyrobieniem dusz i serc powierzonej sobie młodzieży w duchu prawdziwie katolickim, a następnie pismo Tymczasowego Wydziału Samorządowego, w którem tenże przesyła Jubilatowi szczere i gorące podziękowanie za jego gorliwość kapłańską, zbawienną opiekę nad młodzieżą, wierne przywiązanie do szkoły i tak życzliwe wspieranie jej zadań wychowawczych.

Wzruszony do głębi ks. kan. Kaliciński podziękował gronu profesorskiemu i instruktorskiemu i uczniom za gorące objawy przywiązania i żalu, a jako dobry duszpasterz zostawił młodzieży wiązankę cennych rad i wskazówek na przyszłość. Następnie żegnali Jubilata uczniowie skromną wieczornicą, przeplataną śpiewami, muzyką i rzewnemi przemówieniami, wśród której zacieśnił się serdeczny stosunek między gronem profesorskiem a wychowankami. *M.*

Czem będą nasze dzieci?

Maszynista.

Od ucznia, poświęcającego się temu zawodowi, wymaga się, aby miał płuca i serce zdrowe, nie miał żył kurczowych, zawrotów, płaskich nóg, ani słabego wzroku. Uczeń kształci się tylko w fabrykach i to po ukończonym czternastym lub piętnastym roku życia. Nauka trwa trzy do czterech lat i płaci się za nią kilkaset złotych. Uczeń zarabia tygodniowo pewną sumę, a w ostatnim roku pracuje na akord. Godzinna płaca wynosi później od 70—120 groszy. Do samodzielności potrzeba wielkiego kapitału. Są pewne wielkie firmy, które uczniów kształcą w specjalnych kierunkach.

Instalator.

Instalator pracuje w postawie stojącej i często przy pomocy drabin. Częściowo pracuje w pracowniach, ale po większej części na budowlach i w domach. Dlatego wystawiony jest często na przewiewy i gwałtowne zmiany temperatury. Gdy pracuje, zmuszony jest używać ołowiu, który jak wiadomo, jest dla zdrowia bardzo szkodliwy. Praca jest dosyć natężająca, zwłaszcza podczas przeprowadzki. Młodzieniec chcący się wyuczyć zawodu, musi być silnie zbudowany i posiadać zdrowe serce, być wolnym od zawrotów głowy, od chorób stawowych i nie być skłonnym do katarów. W pracowni rzemieślniczej więcej się chłopiec nauczy niż w fabryce. Naukę rozpoczyna mając lat czternaście lub piętnaście. Najlepiej ją rozpocząć, gdy ma lat szesnaście.

Dla instalatora pożądane jest wykształcenie najwyższej klasy szkoły pospolitej, albo wydziałowej. Konieczny jest talent do rysunków i biegłość w rachunkach. Nauka trwa trzy lata. Za naukę nic się nie płaci. Podczas nauki otrzymuje uczeń już w pierwszym roku tygodniowo kilka złotych. W każdym następnym roku wynagrodzenie się zwiększa. Własnych narzędzi uczeń nie potrzebuje.

Kto chce później otrzymać lepszą posadę montera lub technika, winien koniecznie chodzić do szkoły technicznej. Czeladnik zarabia na godzinę do 1,20 zł., więcej gdy pracuje akordowo.

Widoki są bardzo korzystne. Do założenia własnej pracowni nie potrzeba wielkiego kapitału i wystarczy kilkaset złotych.

APTECZKA DOMOWA

Macierzanka. (Thymus vulgaris.)

Macierzanka, pachnąca przyjemnie, jest zielem znanem powszechnie. Rośnie w kępkach, najchętniej przy drogach leśnych. ale także nad drogami w polu, na miedzach i zboczach rowów. Małe to ziele, drobne, ma kwiatki liljowe, kwitnie już w czerwcu i w sierpniu, hodują je także w ogrodach. Macierzankę kładły nasze babcie w świeżą bieliznę, aby pachniała. Zapach macierzanki przypomina wodę kolońską. Łodyga czołga się po ziemi.

Macierzanka jest zielem krew oczyszczającem i pędzącem mocz.

Na kurcze żołądka zażywa się 5—6 kropli na cukrze olejku macierzanki. Olejek można dostać w aptekach, bo trudno go przyrządzić.

Na powtarzający się często ból głowy, czyli na migrenę, pije się herbatę z macierzanki. Bierze się łyżeczkę macierzanki na szklankę wody i pije po dwie szklanki dziennie. Tak samo pije się herbatę z macierzanki na osłabienie nerwów.

Skuteczne są kąpiele w ciepłej wodzie, do której wlano odwaru z macierzanki. Kąpiel należy brać pod nakryciem, aby woń się nie ulatniała. Kąpiele takie bierze się szczególnie na ogólne osłabienie ciała. Na puchlinę wodną brzucha, jeżeli mocz nie odchodzi, pije się herbatę z macierzanki po filiżance co cztery godziny.

Na rozwolnienie chroniczne pije się także po dwie szklanki herbaty dziennie. Na skrofuły, objawiające się cerą blądą i ciałem jakby obrzmiałem, dalej wargą górną dużą i brzuchem wystającym, bierze się kąpiele z tiści macierzanki.

Macierzankę zbiera się teraz. Najlepiej ją przechowywać w workach papierowych w miejscu cienistem i przewiewnem. K.

Kongres Pax Romana

W Warszawie odbył się w tym miesiącu zjazd międzynarodowego związku akademików noszącego nazwę Pax Romana. Na obrazku widzimy uczestników zjazdu przybyłych z różnych stron świata przed wystawą sztuk pięknych Zachętą w Warszawie.

Sisovath, król Kambodży, państwa w Indjach, umarł niedawno licząc lat 87.

Figura Najśw. Serca Jezusowego, poświęcona w czerwcu w Sieklerkach Małych (pow. średzki), fundowana przez p. Walentego Chałupkę.

Pp. Dimlowie z Stanisławowa, długoletni abonenci naszego pisma, obchodzili złote gody.

Poświęcenie 5 nowych dzwonów w Pępowie pow. Gostyń.

W Japonji udało się sztucznie wyhodować perły. Obrazek przedstawia japońskiego hodowcę pereł z grupą nurków.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki" wynosi za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich 1,65 zł. Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.— zł., od 60 egz. wzwyż po 1,65 zł.
Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.— zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnemi.
Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki".

Bóg i Ojczyzna w życiu dziecka

Może dziwnem się wyda Wam, matki polskie, że użyłam jako tytułu takich słów, wypisywanych na sztandarach, z któremi na ustach konają synowie nasi na pobojowiskach. Użyłam, aby wykazać Wam, matki, że hasła te mogą przyświecać nietylko ludziom dorosłym, ale i dzieciom, wchodzącym dopiero na drogę życia.

Zastanówny się nasamprzód, czy wychowujemy dzieci tak, aby najwyższym celem ich życia był Bóg. Czy rozbudzamy w dziecku sumienie, kształtując je na „Dziesięciorgu Przykazaniach". Niestety mało lub wcale nie staramy się, aby dziecku należycie Boga przedstawić, a nawet używamy Ojca Niebieskiego, pełnego miłości dla nas, jako stracha, jeżeli nie możemy uśmierzyć kaprysów dziecka. Nie o to chodzi, aby robić w dziecku strach przed Bogiem, ale o to, by kochało Boga i pragnęło iść śladami maleńkiego Jezusa.

Jak wielkie zaufanie ma do Boga dziecko, któremu matka pomogła kochać Boga i w sercu jego obudziła miłość i ufność ku Stwórcy. Dziecko wyczuwa wtedy, że ma w Bogu najlepszego Ojca, obrońcę i pocieszyciela. Nauczy się znosić przykrości, cierpieć, bo za cenę cierpienia osiągnie świętość życia i radość w niebie. Jakie ono będzie dalekie od wyrządzania przykrych figlów i żartów, marnowania czasu.

Od najmłodszego więc wieku uczmy dziecko wypełniać obowiązki względem Boga. Matka, rano i wieczorem, przed jedzeniem i po jedzeniu niechaj składa rączki dziecka i robi znak krzyża św. Malutkiemu dziecku przed obrazem niech matka robi znak krzyża świętego na czole. Jak dziecko zacznie mówić, nauczmy go króciutkiej modlitwy, potem Ojcze nasz, Zdrowaś Marjo, uczmy go dziękować za wszystkie dary, ale wymieniajmy, aby rozumiało, np. za zdrowie, za wszystko, co go miłe spotkało, o łaski dla rodziny. Opowiadajmy dziecku o aniele stróżu, prośmy go o opiekę. Ważną jest rzeczą, ażeby z dziećmi począwszy od lat 5-u lub 6-u, stosownie do rozwoju, przed położeniem na spoczynek, roztrząsnąć spędzony dzień i wydobyć z dziecka chęć poprawy. Nauczmy dziecko przepraszać Boga za winy.

Dziecko zastanawia się nad zjawiskami w przyrodzie. Nadchodząca wiosna ileż rozbudzić może w sercu dziecka wdzięczności dla Boga przy naszej pomocy. Niech dzieci podziwiają piękność kwiecia na łące, słuchają śpiewu ptasząt, szumu wiatru. Zachęcajmy je do tego. Powiedzmy im, że ten piękny świat, Bóg stworzył dla człowieka, wzbudźmy podziękę dla Stwórcy. Takie lekcje powtarzajmy często, nie możemy ominąć żadnej okazji. Wiek dziecinny ma także kłopoty i zmartwienia. Nauczmy je zwracać się z prośbami i przeciwnościami do Boga. Unikną w przyszłości brzydkiego nałogu opowiadania wszystkiego wszystkim, nauczą się zwracać do Dawcy wszelkich łask i Światła, jak postępować w życiu. Jeżeli dziecko już ogarnie przejawy miłości Bożej dla ludzi, trzeba zaraz poznać go z Chrystusem, który mówił: „Dopuśćcie dziatkom przyjść do mnie". Chrystus Pan swą dobrocią pociąga dzieci. W życiu Jego wszystko przystępne dla serca dziecka. Na tym świętym Wzorze wyrobią sobie dzieci silną wolę. Dziecko dla miłości Boga łatwiej zniesie niedolę i ustrzeże się złego, bo mu pomoże Chrystus swym przykładem. Ciągle wspominajmy dzieciom o miłości Boga względem ludzi, a serca dzieci nie zostaną głuche.

Gdy przeglądamy historję naszego narodu, uderzają nas niezwykłe poświęcenia, bohaterstwa na polu walk, troska o świetność ojczyzny i cicha praca w domu, gdzie rodzice uczą słowem i przykładem miłości Boga i ojczyzny. Ojcowie rozbudzają w synach szlachetne uczucie zdobycia sławy rycerskiej w obronie granic ojczystych. I widzimy bohaterstwa wielkie nie powodowane zyskiem lub zazdrością, ale płynące z miłości ku swej ziemi. Rozpoczyna ten pochód bohaterów Wanda, która dla odwrócenia nieszczęść oddaje swe młode życie w ofierze. Snują się nam przed oczyma Bolesław Chrobry, dziesięcioletni Krzywousty w obozie, Leszek Biały wielki uczuciem wdzięczności dla swego wychowawcy, Florjan Szary na polu płowieckiem, bohaterskie szyki pod Grunwaldem, wielkie sercem i duchem postaci hetmanów Chodkiewicza, Żółkiewskiego lub Czarnieckiego. Przebłyskują rycerskie cnoty w dniach zamętu i upodlenia. Miłość ojczyzny rozniecona w sercach ludu nieskalaną ręką Kościuszki dokonywa cudów na polach Racławic. Ten wielki ogień, który rozgrzewał serca przodków naszych, rozniecały matki polskie w sercach dzieci, pobudzały do męstwa, nie szczędząc trudu, czasu, wiedziały bowiem, że to uczucie uszlachetni czyny przyszłego obywatela kraju. A teraz zapytajmy siebie, czy korzystamy z tych wzorów, które daje nam historja? Czy nie szczędzimy trudu aby dzieci wychowywać na dzielnych obywateli kraju? Niestety ta strona wychowania jest bardzo zaniedbana. Dziecko wzrasta i nieraz do wieku szkolnego nie rozumie, co to jest Polska, poczucia obywatelskości nikt w niem nie rozbudza, zato w sercu takiego dziecka panuje pustka. Trudno aby w takiej pustce wyrosły cnoty przyszłego męża kraju i kobiety polskiej. Jeżeli teraz ludzie uderzają nas płytkością swych uczuć i gotowością przerzucania — od wiary ojców do bezbożności, ulegają kłamstwu odzianemu w pawie szaty, to dowodzi, że ta strona wychowania była zaniedbana, a może wcale nieporuszana. Biedny taki człowiek, który nie ma sumienia narodowego, będzie miotany przez wszystkie burze, bez busoli w ręku, jaką jest miłość Ojczyzny.

Więc, matki polskie, nowe pokolenie, które macie w swych rękach, strzeżcie i napełniajcie serca uczuciami mocnemi, wzmacniającemi, uszlachetniającemi charakter. Nie oddawajcie tej strony wychowania w inne ręce. Przez kształcenie siebie w tej dziedzinie potęgujecie wpływ na dzieci. Niech domy wasze staną się naprawdę domami polskiemi, skąd młode pokolenia czerpią moc i siłę. Strzeżcie się wyrzekania na stosunki krajowe wobec dzieci. Nie zatruwajcie zwątpieniem serc młodych. Wypędźcie z domu naleciałości, które nawiała niewola. Dbajcie o czystość języka ojczystego. Niech piosenki o dniach chwały brzmią radośnie w ustach dzieci. A gdy poprowadzicie dzieci po raz pierwszy do szkoły, wpójcie im poczucie dumy, że się uczyć będą w polskiej szkole pod kierunkiem światłych nauczycieli rodaków.

Jantoś, syn pułku

Miał wyłupiaste, błękitne, jakgdyby zawsze zdziwione oczy, wielką głowę o lnianej czuprynie i wielki brzuch, pod którym zdawały się uginać chude, czerwone, kabłąkowate nóżyny.

Brudny był, bo i któż miał go myć? Matka, wyrobnica dzienna z roboty latała na robotę, zostawiała go najczęściej na klepisku koło pieca, z jednej strony stawiała miskę z ziemniakami a garnuszek mleka z drugiej. Jantoś jadł, jadły i kury jarzębiata i kokosia, zaglądał do mleka kot i swoim różowym, wąskim języczkiem pomagał Jantosiowi w wypróżnianiu garnuszka. Powoli mijała godzina za godziną i pozostawione własnej przezorności

dziecko, płakało, śmiało się, spało i tęsknemi oczyma spoglądało na drzwi zamknięte, na rdzawy rygiel, rychło też matusia przyjdą, rozczochraną głowinę popieszczą, wyjmą z węzełka kawałek chleba z masłem, czasem kukiełkę białą a czasem nawet cukru kawałek.

Smutna była ta dola dziecięca.

Przez malutkie, zastawione pelargonjami okienko, wpadał w południe ukośny, złoty promień słońca, wtedy Jantoś pełzał ku środkowi izby, wyciągał do złotej, rozedrganej smugi brudne łapiny i płakał, bo jej uchwycić nie mógł, przeciekała mu przez palce, była wciąż, jeno nie dla niego.

Kot, także wtedy do świetlnej smugi dążył, kładł się na klepisku, rozciągał łapki, ziewał, zmrużonemi oczyma na rowrzeszczane dziecko patrzył. I on miał dopiero trzy lata a jednak czuł swoją wyższość wobec tego małego człowieka, on już tak dawno samodzielnie myszy łowił, na ptaszki polował, matki nie pamiętał nawet, może nią była owa szara, gruba kocica od wójta a może drobna, czarna od Franka Gibały, kto tam wie. Jemu już potrzebna nie była a zwierzęta zatracają szybciej jeszcze od ludzi pamięć przeszłości, to co się stało przed rokiem, nie istnieje już dla nich. Burek był samolubny, dbał tylko o siebie, miewał jednak czasem i napady litości nad nieporadnością i samotnością dziecka, przychodził wtedy do niego, tarł grzbiet o jego nożyny, tulił czworograniasty łepek do Jantosiowego ramiena i zlizywał mu masło z chleba, bo taka to już kocia natura.

Wreszcie przyszła wiosna: jednego dnia wzięła matka Jantosia w płachtę i posadziła do słońca na wygonie. Dziecko było z początku oszołomione nawałem wrażeń, siedziało ze ściągniętą buzią, z szeroko rozwartemi, wystraszonemi oczyma, gotowe za najmniejszą przyczyną uderzyć w głośny bek, ale przyczyny nie było, a przytem, tuż nad zagonem chyliła się miarowo postać matusi i powierzała rozgrzanej ziemi ziemniaki. A potem Jantoś zaczął się rozglądać coraz odważniej, tak zabawnie furkały ptaszęta nad srebrną wodą płynącego w dole strumienia, biły skrzydełkami w wodę, lgnęły piersią do fali i ulatywały hen! hen! wysoko, w niebios roztokę. To znów dzióbkami zaczerpywały wody i przechylały tak zabawnie główki, by wodę połknąć.

— Żeby tak którego ułapić! pomyślało dziecko.

I Jantoś puścił się na czworakach, z oczyma utkwionemi w ptaki i w wodę, pełznął, jak w chałupie na sklepisku i nagle stracił równowagę, nie miał nawet czasu krzyknąć, znalazł się we mgnieniu na dnie jaru, na podłożu mchu, który go gościnnie i miękko przytulił.

Nie było już stąd widać matusi, woda jeno lśniła, szeptała, gwarzyła, jakąś nieznaną kołysankę a kołysały się nad nią, jak nieba odbicie niezapominajki i złociły bujnie rozkwitłe jaskry. Jantoś, łapinę wyciągnął do tych niezapominajek błękitnych, co się do niego śmiały, jak matusine oczy, do tych niezapominajek, co nad srebrem strumienia wabiły...

Bęc!

Chlusnęła płytka woda tęczą kropel i żałosny, bezradny krzyk dziecka poleciał przestrzenią.

Porwała się od kartofli matusia, serce jej w piersiach uderzyło w jakieś potężne larum, jak szalona rzuciła się w stronę wąwozu.

— Jantoś! Jantoś!

Wydobyła go ze strumienia, czerwoną od krzyku buzinę pocałunkami okryła:

— Kajś ta wlazł, baku utrapiony, synusiu najmilejszy. Oj Jezu, z temi dzieckami!

Od tej przygody pierwszej skończyły się Jantosiowe wycieczki, matusia go znowu z Burkiem w chałupie zamykała i znowu pełzał jeno po klepisku i rączyny do smugi słonecznej wyciągał w tęsknocie.

Wreszcie nauczył się chodzić, trzeci rok już miał, inne dzieci biegają już w tym wieku doskonale, on dopiero pierwsze, niedołężne kroki stawiał a z czegóż siły miał mieć? z tych kartofli, do których zazwyczaj nawet kapki omasty brakło?

Jesień przyszła, coś się dziać zaczynało na świecie dziwnego, grzmiało i grzmiało, jakgdyby jakaś burza niemilknąca rozpasała się nad ziemią, a niebo było pogodne i śmiało się na nim jaskrawe, jesienne słońce.

Dwa dni przesiedzieli w lesie a potem znowu do chałupy wrócili, matusia teraz siedziała w domu i garnęła go do siebie w trwodze, gdy ów pogłos grzmotów urastał w ryk i ziemią wstrząsał.

Nie było co jeść, Jantoś płakał żałośnie, coraz żałośniej, szarpał za kraj matusinego fartucha i powtarzał uporczywie:

= Matuś, chleba, chleba!

A błękitne oczy w szarej, mizernej twarzy kobiety bolesne były wtedy i bezradne: skąd wziąć tego chleba? Może lepiej było z innemi na poniewierkę iść w obcy świat, aniżeli zostać i przymierać z głodu wraz z dzieckiem.

Płakała matusia, płakał Jantoś, aż wyczerpani usnęli oboje.

Burek pierwszy na odwagę się zdobył, zaglądnął do pustych garnków, przeciągnął się i poszedł mimo huku pękających granatów polować na myszy do sąsiedzkiej stodoły.

A matka też musiała wkońcu zdławić lęk i iść po chleb dla dziecka... w to piekło.

Przycisnęła usta do roztargnionych włosków, twardą, ciemną dłonią pogłaskała głowinę:

— Poczekaj Jantosiu, nie ruszaj się z chałupy, wrócę wieczora, chleba przyniesę.

Cosik ją w piersi zabolało przeczuciem, gdy w progu stanęła, ale skrzepiła się szybko, znak krzyża na piersiach zakreśliła i poleciała.

Jantoś do okienka się przyciągnął, buzię do szybki przylepił i patrzył za nią, jeszcze raz mignęła mu czerwona zapaska we wierzbinie i musiała se matusia siąść, bo zapaska wciąż się czerwieniła w jednym miejscu, jak kwiat daleki.

Strasznie się czas Jantosiowi dłużył, głodny był, wyobrażał sobie dla uspokojenia kukiełkę, którą matusia przyniesie, ślicznie plecioną, rumianą i może da Jantosiowi całą. O Jezu...

Słońce zaszło...

Powinna już matusia wrócić niedługo, zaczęły się snuć po izbie długie liljowe cienie, zasnuwały kąty, zapadał mrok. Jantoś nigdy jeszcze nie był sam w ciemnej izbie, taka inna mu się zdała, taka straszna. W wyobraźni dziecka garnki zaczęły przybierać jakieś niesamowite, wyolbrzymione kształty, czarny okap komina zdawał się róść z każdą chwilą, świątki na ścianach ponure się stały i groźne a już najgorsze, to te matusine spódnice, wiszą w kącie i ile razy Jantoś spojrzy, to w bladym świetle księżyca zdaje mu się, że tam ktoś stoi, jakaś baba obca i straszna, jeno patrzeć jak z kąta wylezie i do dziecka ręce wyciągnie.

Boże! Jak się Jantoś boi.

Wtulił buzię w pierzynę i płacze.

Matusiu!

Krzyk leci i urywa się zdławiony łkaniem:

Matusiu!

Coś szmera w kącie...

Coś trzasło...

Spódnice na kołku zdają się żyć.

Jantoś schował się cały pod pierzynę i łkał, łkał...

Aż usnął.

Zbudził go o poranku słoneczny promień, co mu w spłakane oczy zajrzał natarczywie.

Ranek wstał słoneczny, pogodny, przez szybę Jantoś zobaczył rosę na łące, rosę co świeciła, jak klejnoty.

Matusia...

A co, szukać jej pójdzie i już.

Otworzył z trudem drzwi i ruszył przez kartoflisko.

Wokół brzęczało coś, dźwięczało, jak srebrzystych jakichś pszczół gromada.

Jantoś szedł, a duszyczka dygotała mu w lęku, bo grzmiało.

A tam, w wierzbinie, zdaje się Jantosiowi, że widzi zapaskę matczyną. Zległa se matusia w trawie i śpi do słoneczka. — Czy też ma chleb — myśli dziecko, i głód ściska mu na to przypomnienie wnętrzności aż do bólu.

Idzie przez kartoflisko na swoich kabłąkowatych nożynach, mały, brudny, nędzny, biedny bezmiernie.

— Dziecko!

W okopach dojrzano idące wśród linji strzałów, dziecko, dojrzano je równocześnie w obu wrogich wojskach.

Dziecko!

I nagle, jakgdyby na jakąś niewidzialną komendę urwała się palba ręcznej broni. Każdy z tych ludzi przypomniał sobie własne dzieci, własne małe, biedne, nad życie kochane dzieci, karabiny umilkły a serca, co obojętnie znosiły grozę wojny, rozdygotały się trwogą o to piskle obce. Dziecko...

Nie było już krwawych żołnierzy, byli tylko ojcowie litujący się nad cudzem dziecięciem.

A Jantoś nie zdziwił się nawet, że małe, srebrne robaczki brzęczeć przestały, ani że umilknął jazgot karabinu maszynowego, szedł ku wierzbinie, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, szedł, nawołując słabym, piskliwym głosikiem:

— Matusiu! Matusiu! Matusiu!

Dopadł do śpiącej matusi i stanął zafrasowany:

— Matusia to, czy nie matusia?

Zapaska matusina i chustka ale ta twarz sino-zielona o zamkniętych oczach, to chyba nie matusia.

A może...

Z linji okopów nadszedł żołnierz, na ręce dziecko wziął i rozczochraną głowinę tulił.

— Nie bój się, nie bój, chleba ci dam.

— Cicho, cicho...

— Matusia?

— Matusia do Bozi poszła, synaczku... Cicho, mam w domu pięcioro takich... Ej Boże...

Wiedział, czuł, że nikt do dziecka nie strzeli, poczucie ludzkości zwyciężyło nawet poczucie obowiązku, we wrogich okopach milczały karabiny, a niejedne oczy wilgotne były od łez.

Napojono Jantosia kawą czarną, słodką jak ulepek, dano chleb i piernik. Odesłano go potem z pierwszą okazją w głąb kraju, polecając opiece towarzyszy za frontem, syna pułku.

I był Jantoś synem pułku i jest nim do dzisiaj, bo wychowują go ze składek oficerowie i żołnierze.

Ze świata katolickiego

Wielki zjazd katolicki Polaków we wschodniej Francji.

W Metz, dnia 21 sierpnia r. b. odbył się pierwszy wielki zjazd katolicki Polaków ze wschodniej Francji, połączony z poświęceniem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Zjazd ten jest dowodem nieustannie wzrastającej żywotności ruchu katolickiego. Po zjazdach w Lens, Meaux, Soissons, Lyonie był on wspaniałą manifestacją katolicką we wschodniej Francji. Organizatorem zjazdu jest x. dziekan Kudlacik.

Król Ferdynand pozostawał katolikiem.

Jako członek domu książęcego Hohenzollern-Sigmaringen, ś. p. król Ferdynand rumuński był katolikiem. Dowiadujemy się obecnie, że choć królowa i dzieci katolikami nie są, to jednak zmarły król pozostał zawsze wierny swej wierze. Dzięki niemu konkordat rumuński na dobrej jest drodze i już od r. 1920 stosunki dyplomatyczne między Rumunją a Stolicą Apostolską zostały uregulowane.

Polityka

Tajemnicze zniknięcie.

Pora ogórkowa. Dużo, bardzo dużo ogórków na targu, a w polityce jeszcze więcej. Posucha na wiadomości polityczne, chociaż w przyrodzie jest inaczej: burze w całej Europie, pożary lasów we Francji, trzęsienie ziemi w Azji. A politycy milczą i wygrzewając się na słońcu, snują bodaj czy słoneczne zamiary.

W kraju cisza, zamącona tylko tajemniczem zniknięciem jenerała Zagórskiego. Po 15miesięcznem więzieniu w Wilnie jenerał wstał zwolniony i przybył do Warszawy, lecz wkrótce zaginął. Dziennikarze zamienili się w wywiadowców, lub jak kto woli, w astronomów, poszukując zaginionego. Tysiące domysłów krąży o przyczynie zniknięcia jenerała. Dwa tygodnie mija, jak przepadł. Dzienniki zagraniczne „używają" w najlepsze. Narazie sprawa ta nie ma znaczenia politycznego, bo niewiadomo, dlaczego jenerał zaginął. Ataki niektórych dzienników i zbyt gorliwe ich domysły są odpowiednio przez władze hamowane.

Nowe rady.

Tymczasem rząd coraz więcej skupia koło siebie „rad państwowych", które mu radzą i których on się radzi, choć sobie pozostawia ostatnie słowo i postanowienie. Ma więc „radę prawniczą", zwalczaną przez sejm, która przegląda wygotowane ustawy, ma radę finansową, która zdanie wypowiada o podatkach, ma radę samorządową, która rozprawia o bolączkach gminnych. Niedawno odbyło się pierwsze posiedzenie tej rady, która omawiała „samorządowe związki celowe", szpitalnictwo i emerytury pracowników gminnych.

Podatki „na później".

Podatki nowe grożą nam dopiero, gdy je nowy sejm uchwali, ten już pewno nie zdąży. Wisi nad nami „przerobiony" podatek dochodowy, który obarczy między innymi drobnych gospodarzy i również przerobiony na stałe podatek majątkowy.

Zmagania się w gospodarce.

Rolnicy zbiorami nie mają się tak bardzo cieszyć. Obliczono naprędce, że zbiór żyta i jęczmienia jest większy niż w roku zeszłym, a pszenicy i owsa prawie taki sam. Ale burze i deszcze w połowie miesiąca i omłot „niewyraźny" pogorszyły te obliczenia. W przemyśle jest lepiej: wielkie fabryki łódzkie pracują bez przerw w tygodniu i 74 tys. robotników jest zatrudnionych, położenie w sierpniu jest lepsze niż przed rokiem i nadal zapowiada się dobrze. Na Śląsku wywóz węgla się wzmaga. Bank Polski gromadzi złoto i obce pieniądze mimo silnego wwozu obcych towarów, a skarb ściąga coraz więcej gotówki.

Litwa nie wyciąga dłoni.

Polityka zagraniczna Polski rozszerza się, przybędą wkrótce nowe poselstwa na Wschodzie — w Egipcie i Chinach. Szkoda tylko, że sąsiedzi nasi są niepewni. Pierwszy minister litewski oświadczył, że Litwa nie zgłosi się do Polski o zgodę, ale że to Polska powinna uczynić. To samo mówił pewien profesor Litwin, który niedawno odwiedzał Polskę i radził Wilnu nadać „samodzielność".

Bolszewicy między sobą.

Stosunki z Rosją nie są uregulowane, dotąd poseł sowiecki w Polsce nie jest mianowany. Bolszewja przeżywa ciężkie dni polityczne: rysie i żbiki opanowały ster rządów, szczerząc do siebie groźnie zęby. Zinowiew i Trocki, chwilowo odsunięci od władzy i za-

grożeni zesłaniem, ukorzyli się przed większością partji komunistycznej, ale tylko pozornie. I po krótkiej przerwie uderzyli na rząd sowjecki, głosząc najskrajniejsze hasła i wzywając komunistów w obcych krajach do rewolucji. Mówią, że wpływy Trockiego są coraz silniejsze i że musi wybuchnąć otwarta i stanowcza walka między bolszewikami o władzę.

Drobne oddziały powstańcze dokuczają posterunkom sowjeckim, i choć narazie nie są groźne, staną się niebezpieczne, gdy komuniści wezmą się za grzywy.

Przymlanie się do Francji.

W Niemczech zawsze to samo: półsłówkami mówi się, że granice muszą być zmienione. Świeżo to oświadczył poseł Kardorff, znany Wielkopolanom, na obchodzie konstytucji niemieckiej. Jednakże Niemcy, aby zjednać sobie Francję i wymóc opróżnienie Nadrenji, zawarły z Francuzami układ handlowy. Narodowcy niemieccy stanowczo jednak się sprzeciwiają takiemuż traktatowi z Polską.

Trzy rewolucje.

Na krańcu Europy rewolucja w Portugalji odbyła się szybko jak błyskawica, ale tym razem bez skutku. Trzech przywódców zesłano na bezludne wyspy.

Innego rodzaju rewolucję urządzono w Boliwji, w Ameryce Południowej. Indjanie wystąpili tam przeciw „białym". Podobno są komunistami, a może ich gnębiono? donoszą, że powstanie jest naprawdę groźne.

W Chinach wojska umiarkowane niespodzianie odnoszą zwycięstwa. Wódz armji przeciwnej ustąpił. Miasta Nankin i Szanghaj wkrótce pozbędą się „władzy czerwonej".

Do naszych abonentów pocztowych!

Kto się spóźnia

z zamówieniem „Przewodnika Katolickiego" na **wrzesień** niech wypełni kwit pocztowy i uda się zaraz do najbliższego **urzędu pocztowego, aby odnowić przedpłatę.**

Prenumerata **miesięczna wynosi 0,67 zł.**

Abonenci otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską płacą kwartalnie 2,40 zł.

Prosimy regulować przedpłatę!

Szanownych Abonentów, pobierających pismo w większych ilościach wprost od nas z Poznania, a zalegających jeszcze z przedpłatą na bieżący kwartał, bardzo uprzejmie **prosimy o jak najwcześniejsze wniesienie prenumeraty stosownie do doręczonych im rachunków.**

Wobec tego, że wszystkie bez wyjątku należytości z tytułu abonamentu płatne są przed upływem kwartału, gorąco niniejszem uwadze P. T. Prenumeratorów polecamy wypełnienie powyżej wymienionej prośby **najpóźniej do 19. września b. r.**

O ileby Administracja do tego terminu nie była w posiadaniu przedpłaty, **zastrzega sobie prawo ściągnięcia należytości wraz z kosztami pobrankowemi zaliczką pocztową przy wysyłce Nr. 39. Uprzejmie zatem prosi o wniesienie prenumeraty w terminie wzgl. o zawiadomienie na piśmie, kiedy pokrycia napewno oczekiwać może.** Niniejsza odezwa **nie dotyczy kolporterów pisma.**

Z powodu wyjazdu naczelnego redaktora, X. Prał. Kłosa, uprasza się adresować wszystkie listy i rękopisy wprost do redakcji.

Redakcja „Przewodnika Katolickiego".

Zapisy do szkół gospodarczych w Wielkopolsce. Z początkiem września rozpoczyna się w szkołach gospodarczych dziewcząt w Nietążkowie-Śmiglu i w Tuchorzy nowy roczny kurs. Wprawia on we wszystkie działy zajęć, jakie kobietę w gospodarstwie włościańskiem czekają, jak n. p. gotowanie, piekarstwo, cukiernictwo, przyrządzanie mięsiwa, przerobów owocowych i konserw, krój, szycie i roboty ręczne, porządki domowe, pranie, prasowanie, wychowanie dziecka, ogrodnictwo, pszczelnictwo itd. Ponadto program uwzględnia nauki ogólnie kształcące, gimnastykę i śpiew. Opłata z utrzymaniem wynosi 40 zł miesięcznie. Zgłoszenia należy wysyłać pod adresem: „Zarząd Żeńskiej Szkoły Gospodarczej w Tuchorzy pow. Wolsztyn", albo „Zarząd Żeńskiej Szkoły Gosp. w Nietążkowie — Smiglu pow. Śmigiel".

Pielgrzymka do Górki Duchownej. Kat. Towarzystwo Robotników Pol. par. św. Wojciecha w Poznaniu, urządza w niedzielę d. 28 sierpnia pielgrzymkę, która wyjeżdża o godz. 5-tej rano z dworca podmiejskiego. O godz. 8 ciej odprawi się msza św. na intencję pielgrzymów, poczem nastąpi pochód z orkiestrą na dworzec. W Sierpowie odbędzie się uroczyste poświęcenie figury, oraz wmurowanie tablicy pamiątkowej, przez x. patrona Putza. Koszta pielgrzymki wynoszą do Bojanowa Starego i z powrotem 5,50 zł. Zgłoszenia przyjmuje się codziennie w biurze parafjalnem od godz. 11 do 1, na salce parafjalnej od 6 do 8 wieczorem, oraz w następujących miejscach: pp. J. Hoedke, Szewska 13, J. Malczewski, św. Wojciech 24, Sz. Czub Jeżyce, Dąbrowskiego 83/85, A. Przeworski Urbanowo Źródlana 15 Wszyscy posiadający zniżkę kolejową płacą na koszta pielgrzymki tylko 1,50 zł.

Budowa Domu Rzemieślniczego w Poznaniu. W roku bieżącym rozpoczęto budowę długo oczekiwanego „Domu Rzemieślniczego w Poznaniu". Nietylko rzemiosło, ale całe społeczeństwo zainteresowane jest jego budową, bo chodzi o wiekopomną pamiątkę kulturalną. W dniu 3 maja b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego. Budowa Domu postępuje szybko naprzód. Nie trzeba będzie długo czekać, a stanie gmach, który naszemu rzemiosłu przysporzy wiele korzyści. Na zupełne wykończenie Domu brak jednak funduszów. Zważywszy, że z Domu tysiące rzemieślników czerpać będzie nieocenione korzyści, które wyjdą równocześnie na dobro społeczeństwa i państwa, apelujemy do naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem do naszych rzemieślników, by hojnie i ofiarnie składali datki na budowę „Domu Rzemieślniczego w Poznaniu". Ofiarodawcy zostaną zapisani w złotej księdze fundatorów na wieczną pamiątkę. Wszelkie datki pieniężne uprasza się wpłacić na konto P. K. O. Nr. 208702 w Poznaniu. Ofiary w naturze (materjał budowlany) prosimy zgłaszać w Izbie Rzemieślniczej w Poznaniu, ul. Fr. Ratajczaka nr. 26/27.

Zapisy do Szkoły Rzemieślniczo-Przemysłowej. Państwowa Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa w Poznaniu przyjmuje zapisy chłopców w wieku 14-16 lat na oddziały ślusarski i stolarski od dnia 25 sierpnia rb. w biurze Szkoły przy ul. Kluczborskiej 5 (przy Rynku Wildeckim) od godz. 9-tej rano do 1-ej i od 3-6 po poł. Egzamin wstępny odbędzie się w dniu 29 sierpnia rb. o godz 9 rano.

Odpowiedzi Redakcji

A. C. z B. Bez bliższego określenia celu i gdzie ma Pani zamiar ulokować córkę — w Poznaniu, czy na Pomorzu — trudno nam wskazać adres. — **B. Szaj. Pniewy.** Sekr. gen. Tow. Pomocy Nauk. Kar. Marcink. x. kan. Zwolski Poznań, Nowy Rynek. — **Mag. Zales. Niesłusz.** Szkoła Gosp. Domow. w Częstochowie, Kościerzyna (Pomorze), Kraków, Łódź ul. Radwańska 42 i Warszawa. — **Rz P. Starogard.** Na maszynistę trzeba się uczyć trzy lata we fabryce maszyn i to po ukończeniu 7 klas szkoły powsz., następnie dwa lata w szkole budowy maszyn w Bydgoszczy lub Poznaniu. — **Cec Kopkiew. Racliejów.** Powieści do konkursu można już wysyłać. — **W. J. Chełmno.** Zgłoszenia na kursa maturalne p. adr. Prof. Dr. Czajkowski, Poznań, ul. Dąbrowskiego 55. Pedagogium Akademickie Poznań, św. Marcin 40. — **H. Droszczowa.** Zgłoszenia p. adr. P. Marja Sczaniecka Poznań, ul. Strzelecka. — **Eug. Topolska, Kielce.** Zakład św. Olafa w Pniewach (Poznańskie), Szkoła Gospodarcza Żeńska im. Emilji Zyberg-Platerowej Chyliczki (woj. Warszawskie) a specj. Państw. Szkoła Ogrodnicza w Poznaniu ul. Noskowskiego — **H. Misiek, Poznań.** Wiersz sztuczny, nie umieścimy. Trzeba jeszcze popracować. — **P. Z. Paśnikowski, Mierzejewo.** Radzimy się zwrócić p. adr. Zakład xx. Salezjanów w Warszawie lub w Oświęcimiu. — **P. Kmiecik, Zielonki.** Nie umieścimy. — **P. St. Brodowski, Żarnowo.** Nie umieścimy. Brak myśli przewodniej. Może są inne rękopisy, prosimy nadesłać. — **P. W. Lacombe, Toruń.** Stwierdzić nie możemy.

Kalendarz

28 sierpnia. Niedziela — **św. Augustyna** — 29 sierpnia. Poniedziałek — **Ścięcie głowy św. Jana** — 30 sierpnia. Wtorek — **św. Róży** — 31 sierpnia. Środa — **św. Rajmunda** — 1 września. Czwartek — **śś. Idziego i Bronisławy** — 2 września. Piątek — **św. Stefana** — 3 września. Sobota — **św. Szymona.**

Adorację Najśw. Sakramentu mają następujące parafje: Niedziela: Zbarzewo. Poniedziałek: Brenno. Wtorek: Wałków. Środa: Wielowieś. Czwartek: Kaszczor. Piątek: Chobienice. Sobota: Kębłowo.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma i abonamenci nie mają prawa domagania się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

Za reklamy odpowiedzialny Ignacy Domański w Poznaniu. — Redaktorem odpowiedzialnym za egzemplarze dodawane do „Narodu" jest p. Marjan Kwiatkowski w Herne (Westfalen). — Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.